



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

SAMOTNOŚĆ.

Ja jestem cisza wśród hałasu świata,
Jestem bezpieczny przybytek spokoju;
Komu na czołe stoją krople znoju,
Kogo spotkała jakaś wielka strata—
Ominął szczęście, zgubił gdzieś nadzieję,
A życia ostry wiatr w oczy mu wieje:
Niechaj tu dąży—człowiek ten zmęczony.
Chociaż u wejścia czuwa tu tęsknota,
Choć błada smętność otwiera tu wrota,
Miejsce to dobre zacisznej uchrony.

Wszystko, co blichirem jest, co jest pozorem,
Musi pozostać u przedsionku proga,
Sam się tu znajdziesz z sercem twojem chorem,
Ni przyjaciela nie mając, ni wroga.
Lecz chociaż cichość zewsząd cię okoli,
Przecież ty jeszcze sam nie będziesz cichy,
Jeszcze się w tobie głos upartej woli,
I krzyk namiętnej będzie zrywał puchy.
Będiesz roztaczał życia twego dzieje,
Wylizwał krzywdy, braki, niedobory;
Jak ci dawano za prawdę pozory,
Targano wiary twoje i nadzieje.
Będiesz wytykał spraw świata bieg krzywy,
Wszystkich praw twoich do szczęścia dowodził
Każdy kłós, co się na łanie urodził,
Każdy chwast ziemski, ostu lub pokrzywy,
Ma odmierzoną sobie kroplę rosy,
Swoją promień światła, dany do rozwoju:

A ty—czyś dostał chociaż dział spokoju?
Czy choć bezpiecznym być—dały ci losy?
Tyś chciał mieć tylko cichy kąt na ziemi,
I jedno serce, coby było twojem:
A ciebie przyszli wrzusać niepokojem,
Swemi sprawami, żądzami swojemi!
Ten cię mijając zuchwale pōtracił,
Tamten przypadkiem o ciebie zawadził,
I jeden czystość ducha twego zmałił,
Drugi ci serce z piersi wziął—i zdradził!...

Tak będziesz wołał, krzyczał, ale w końcu
Cisza naokół przerazi cię głucha—
I wzrok podniesiesz gdzieś w górę, ku słońcu,
Może szukając Boga, czy gdzie słucha?
Lecz gdy w błękitów przestwór wlepisz oczy,
Cichość się zacznie stawać i w twem łonie:
Tysiące blasków ponad tobą płonie,
Tysiące światów w przestrzeniach się toczy,
I ty, w te głębie wpatrzon tajemnicze,
Już nie podniesiesz głosu skargi twojej,
W nieskończoności milczące oblicze,
Nie rzucisz żalów twych i niepokoi!...

Nie! Przed istnieniem twem na lat tysiące,
Już się tak ludzkie uciszały łona,
I cichość niosła balsamy kojące,
W których goiła się dusza zraniona.—
W Grecyi obrane jedno miejsce było,
Kędy się leki takie odbywały:
Tam, gdzie Bogowie gromowładną siłą
Strącali w przepaść Tytanów i skały,
Tam, gdzie Penejos ciska białe piany,
Ossa na Pelion złomy swoje wali,
Tam z Eskulapa świątyni kapłani
Chorych na rozpacz ludzi wysyłali.—

I szli w samotność, w ciszę, czując blisko
Przytomność ducha, co straż światów trzyma.
I wielkie przeszłych rzeczy widowisko,
W strzaskanych głazach mając przed oczyma.

Szli i zaduma chwytła je cicha,
I jak od brzegów morza drżące fale,
Tak od ich serca samolubna pycha,
I strat przeżytych cofały się żale
A gdy nareszcie z głębi ich istoty
Wyszło rzucone w przestwory westchnienie,
Gdy o spokojne srebrnych gwiazd promienie,
Nić zaczepili serdecznej tęsknoty,
Wracali—niosąc między ludzkie tłumy
Cichy majestat duszy ukojonej.
Jeżeli na czołach obłoczek zadumy
Został, jak królom znak do ich korony,
To nic—łagodnie to oblicze cieni,
I kiedy widział Grek takich przechodni,
Gdy szli z kosztorem pielgrzymów pogodni,
To cicho szeptał o nich:—Uzdrowieni!...

Marya Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Basta!... Popielec kres położył przydługim zastupom i uciszył chaos zabaw głośnych i wesołości publicznej. Wytrzymałość wszelkiego rodzaju Fikalskich i gościnność „otwartych domów”—do ostatka zachowały swą opinią.

Karnawał skończył się hulaszczco, z tymsamym animuszem, z jakim przewalcował i przegalopował dwa miesiące prawie. Ostatni tydzień oży-

wily jeszcze bale z celem filantropijnym, pomiędzy którymi trzeba wspomnieć dwie ostatnie maskarady z tombolą: jedną w salach ratuszowych, drugą — w ređutowych.

Na pierwszej, w Tłusty Czwartek, pożywiło się trochę Towarzystwo Dobroczynności, które, jak i gdzie może, szuka środków załatwienia chronicznego niedoboru; na drugiej kassa pożyczkowa chudej dziś Melpomeny, Euterpy i Terpsychory zgarnęła spory zasilek, dzięki dobremu pomysłowi urzędzenia w ostatnią Niedzielę loteryi fantowej na maskaradzie. Przeszło 2,000 fantów, udział czynny całego niemal teatralnego personelu obojga płci przy sprzedaży losów, i wykonaniu uroczajnego programu, wreszcie cel godny poparcia, ściągnęły na pustą, zwyczajnie salę ređutową tłum ciekawych.

Stawilo się ich z górą półtora tysiąca dla spróbowania szczęścia przy stolikach z losami, co jak Scylle i Charybdy groziły pugilaresom maskaradowiczów.

* * *

Podobno w Wielkim Poście, z inicjatywy i pod kierunkiem znanego melomana, hr. Gustawa Platera, ma być urządzony wspaniały koncert na korzyść tejżesamej kassy pożyczkowej artystów i artystek sceny, założonej przed kilku laty a rozwijającej się nader pomyślnie przy coraz większym poparciu.

Brak kassy emerytalnej może da się też z czasem zastąpić tą pośrednią instytucją, skoro jej fundusze wzrosną do poważniejszej wysokości, bo należałoby koniecznie o tem słusznym zabezpieczeniu talentów i zasług steranych na scenie pracowników pomyśleć szczerze i przygotować coś trwalszego dla ich przyszłości.

Kłopot to wszelako, ciążyący na głowach bardziej interesowanych w tej sprawie, i spodziewać się należy, że energia dzisiejszej dyrekcji w zakresie administracyjnym załatwi się powoli i z tą kwestją, zaskarbując sobie wdzięczność całego nowicyatu i kapituły Melpomeny.

Sarkaliśmy przy sposobności na nadużycia i zbytek karnawału tegorocznego: oddajmyż mu także sprawiedliwość za dobry pomysł, który zostawił i przekazał swoim następcom.

Dobrym przykładem wprowadzone szczęśliwie „wełniane wieczorki“ w ostatnich tygodniach zapust, przyjęły się w Warszawie i na prowincyi; jest nadzieja, że ta moda przetrwa dłużej, zwłaszcza skoro połączono z nią myśl poważniejszą i cel szlachetniejszy.

Oto zaproponował ktoś, aby na wieczorkach wełnianych zbierano dobrowolne, dwuzłotowe składki od każdej z dam na fundusz... stypendyalny dla uboższego ucznia.

Projekt się podobał i kilkaset rubli wpłynęło z tego dochodu w krótkim przeciągu czasu.

Nie rozumiemy: dlaczego zebrań towarzyskie w czasie Wielkiego Postu na rautach, herbatkach, *jour-fixach* nie miały przedłużyć dobrej tradycji „wełnianej“, a z nią i filantropijnej ich propagandy.

Głosujemy za nią i mamy nadzieję, że pierwsi inicjatorowie tej praktycznej myśli — opodatkowania skromności nie pozwolą jej utknąć na drodze do celu.

Zostatniemi dźwiękami tanecznej muzyki zmieszaly się uroczę tony skrzypiec Sarassatego, który całą niemal muzykalną Warszawę potrafił wyrwać z karnawałowego wiru i przyciągnąć do sali koncertowej.

Tryumfy hiszpańskiego skrzypka utorowały mu już drogę po całym ucywilizowanym świecie; wszędzie przyjmują go oklaskami i witają, jak najmilszego gościa.

Pod taką zatem gwiazdą pierwszego blasku rozpoczął się u nas sezon koncertowy i zdaje się, że utrzyma swój świetny nastrój, bo oto zapowiadają nam już przybycie po Sarassatym znakomitej pianistki, p. Zofii Menter, która zapisała się u naszych melomanów niejednokrotnie najlepszymi wspomnieniami.

Do koncertów zaliczyć sobie pozwalamy po-

pisy żywego słowa z katedry prelegenckiej i wróży im równe powodzenie.

Ani prof. Tarnowski, ani Kaczkowski, ani Julian Klaczko, ani Kaszewski, nie wezmą udziału, jak sobie to planowano z początku; natomiast stanie cały zastęp znanych i cenionych sił miejscowych do tej kwesty dobroczynnej, najszlachetniejszej w swej formie ze wszystkich w tym czasie praktykowanych.

Posłyszmy zatem p. Marrenową, która mówić będzie o „Miłości w kilku typach literackich“, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, prawiącego „o ostatnich poganach“ w filozofii, dr. Jędrzejewicza „o przeszłości świata fizycznego“, Karola Dunina „o prawnej obronie honoru“, Kozietulskiego Zdzisława „o granicach poznania ludzkiego“, Święcickiego Adolfa „o teatrze na wschodzie“, Janowskiego Edmunda „o drzewach krajowych“, i Kościelskiego Józefa, znanego poetę i dramaturga, który opowie nam za wspomnień i wrażeń swoich w podróży na Wschód: „Pod głazami piramid“.

Jaka szkoda, że żadnemu z prelegentów nie przyszło na myśl w rocznicę trzechsetletnią śmierci „księcia poetów“ naszych, Jana z Czarnolasu, uczcić pamięć jego żywym słowem z katedry publicznej!

Nie wiemy, czy komukolwiek data 22-go Sierpnia, r. 1584, data fatalna, bo kładąca kres żywotowi Kochanowskiego, przypominała u nas obojętne wdzięczne społeczeństwo dla poety tej miary, co autor „Trenów“, ale jakoś o żadnym w tym kierunku projekcie nie słyszeliśmy dotychczas. Komitet wydawniczy „dział Jana Kochanowskiego“, nie popierany należyście przez ogół, swojej pomnikowej pracy nie będzie mógł w terminie ukończyć; więc to jedyne, a najważniejsze na razie uczczenie pamięci poety naszego, zawiedzie oczekiwania.

A przecież komuż zdobędziemy się na wieniec jeżeli nie Kochanowskiemu i Mickiewiczowi — tym dwóm jedynym i prawdziwym wielkościami uznanym bez różnicy jednogłośnie przez cały ogół!

Z pomnikami i pomnikowemi wydawnictwami, idzie u nas wszystko opornie, jak po grudach; tyle razy się to powtarzało, że nareszcie trzeba być głuchym, jak pień, albo jak głaz zimnym, by nie usłyszeć i niezrozumieć nawoływań, które idą mimo uszu.

* * *

Komitet krakowski od czasu do czasu tylko budzi się ze swojej długoletniej drzemki, aby sobie przypomnieć, że go powołano do wystawienia pomnika Mickiewiczowi, poczem znów usypia.

Już-to do przeróżnych komitetów również nie mamy szczęścia i nie mieliśmy go nigdy, ale o „pomnikowych“ dwa razy można to powiedzieć.

Zobaczymy, jak się spisze nowy przybysz w złożonej postaci z pp. Jenikego, redaktora *Tygodnika Ilustrowanego*, Szymanowskiego Wacława, redaktora *Kuryera Warszawskiego*, ks. Rektora Chełmickiego i p. Dębskiego obywatela z Płockiego.

Komitet ten ma się zakrzętnąć około zebrania funduszu na uczczenie pamięci znakomitego poety ks. Macieja Kaź. Sarbieńskiego, nadwornego kanonika Władysława IV.

Pośrednio winniśmy Anglii i jakimś ciekawemu synowi Albionu, że ten poeta europejskiej sławy doczeka się po półtrzecia wieku pamiątkowej tablicy na wewnętrznej ścianie archikatedry warszawskiej; Anglia bowiem najgłośniej uznała talent po Horacjuszu najcenniejszego liryka w języku łacińskim, rozbierając jego dzieła na uniwersyteckich katedrach. Nic dziwnego, że przed kilku laty pewien turysta angielski wyjechał od nas zgorzany i oburzony, dowiedziawszy się, że w ojczyźnie uznanej i sławionej przez obcych znakomitości, nie znalazł nawet śladu, gdzie stała kolebka i gdzie stanął grób Sarbieńskiego.

Zawstydził nas Albionczyk i niech mu Bóg da za to zdrowie, bo widocznie staramy się teraz zrehabilitować bodaj tablicą na którą przecież

znajdą się fundusze, choćby z kilku odczytów o zapomnianym u nas poecie.

O pomniku dla Syrokomli przypomina dość często *Biesiada Literacka* i jej można tę sprawę zostawić, licząc na Sępa, który choć skromny wykuję głaz „wioskowemu lirnikowi“ ze składek.

Ale powinny go w tem poprzeć liczne wielbicieleki gawęd serdecznych i talentu Syrokomli, a zwłaszcza te po wiejskich dworach i dworkach, które umiał tak pięknie opiewać autor „Ułasa“ i „Janka Omentarnika“.

Przywilejem zwykłym wszystkich felietonistów, przechodzimy od poezji do prozy, potrąciwszy za ledwie przedmiot, godny gorętszego poparcia. Oto dowiadujemy się z dzienników naszych, że zeszłej Niedzieli przybyło nam dziewięć nowych szkół niedzielno-rzemieślniczych dla biednych terminatorów, których jest około 10,000 w Warszawie, a źródełek jedynej dla nich nauki tylko 14 z 32 klassami.

Skutkiem takiego anormalnego stosunku, obojętne kształcenia się poza pracownią, stał się istną niemożliwością, która tembardziej zacieżyła nad losem terminatorów, że zagroziła im drogę do wyzwalania się na czeladników, gdyż cechy i magistrat bez świadectw odbytego kursu nauki w szkole niedzielnej odmawiają dziś wyzwolin.

Powstające szkoły luki całej nie wypełnią: potrzeba ich przynajmniej pięć razy tyle, a niestety, funduszy i środków na urządzenie nowych szkół, brak i Magistratowi, i cechom.

Jest projekt częściowego załatwienia sprawy przez urządzenie w istniejących już szkołach kursów wieczornych, poza istniejącym kursem południowym.

Sprawa to ważna, a dla młodzieży rzemieślniczej, zagrożonej obostrzeniem ustawy — piekącą.

Od zeszłej niedzieli sprawa ta troszeczkę się poprawiła, ale do zupełnego wydobrzenia bardzo jeszcze daleko.

* * *

Sensacyjną nowością dla gospodarzy, przebywających na warszawskim bruku, jest próba sztucznej hodowli kurcząt, rozpoczęta z inicjatywy p. Tytusa Płotnickiego, który sprowadził do Warszawy stosowne aparaty i od Soboty dziesięć kóp jaj w nich wygrzewa na pociechę smakoszków. W przeciągu trzech tygodni dowiemy się, czy sztuczne kwoki spełnią swój obowiązek należyście i wyhodują pisklęta, dla których przeznaczono też obszerną salę na... konwikt; zmieścić się w niej może 10,000 kurcząt jednocześnie.

Na wypadek powodzenia, przybędzie nam nowa gałąź przemysłu, z której korzystać będą mogli ludzie mniej zamożni i ciągnąć podobno znaczne nawet zyski.

Wspominaliśmy już o staraniach w celu założenia w Warszawie akcyjnego towarzystwa hodowli drobiu; obecnie dodać możemy, iż odpowiednia ustawa została wygotowaną i uwzględnia przedewszystkiem udział i obrót drobniejszych kapitałów.

Jest zamiar wypuszczenia w obieg 1,000 akcyj po rs. 50.

Zaczynamy tedy w praktyczności naśladować zagranicę; obyśmy tylko w wytrwałości naśladować ją potrafili, nie zniechęcając się pierwszym zawodem, nie łakomili zbyt na największe od razu zyski i nie pacyli własną niezaradnością przedsiębiorstwa.

Niemiec i Francuz umie zbierać po groszu i stara się tych groszy zapewnić sobie jaknajwięcej, na jaknajdłużej; my pragniemy zawsze wyciągnąć strunę od razu, aż do pęknięcia i albo zbagacić się jednym ryzykiem, albo porzucamy z początku próbę, która naszej chciwości od razu nie zaspokoila.

Może i pod tym względem nauczymy się z czasem rozumu.

KRÓL AGIS

DRAMAT HISTORYCZNY W 3-CH AKTACH

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

*AKT II.

*SCENA II.

((Dalszy ciąg)).

*Agis

Nigdy nie sądził, że w takim zapale
Dla królów Sparty znajdę Grecyą całą.
Gdziem szedł—to wioska lub miasto śpiewało
Nad szmery leśne, nad strumienie skalne,
Głośniejsze, lepsze — muzyki choralne,
Wołając dawne, królewskie imiona.
A tu Aratus, do Agamemnona
Podobny ligi wodzowstwem i wiekiem,
Nazwał mnie królem i zrobił człowiekiem—
Mnie, który dzieckiem tu służyć przychodził!
O! jakże łatwo w kraju, gdzie są wodze,
Znawce z oblicza 1) i zasług rachmistrze,
Iść człowiekowi przez cnoty najczystsze.
A nic nie stracić—zapomniawszy siebie!
Aratusowi więc tu nie pochlebię,
Bo się to czynić młodszemu nie godzi;
Ale mu się dam z garścią mojej młodzi,
I niech wojuje z Etolską krainą, 2)
Królami, którzy, jak mówi, nie giną.

*Aratus

Za nieśmiertelnych was w rachubę 3) kładę,
I obu zaraz wodzom prowadzę na radę.

*Chorus

Smętek! smętek! widziałem nad Koryntu czołem
Ranną tęczę—słyszałem brzęk błękitnej fali.
Tam, gdzie Agis miłości pierwszej 4) apostołem
Stał — widziałem chmurny, mroczny Parnas
[w dali.
Jako ptaszki z miejsca na miejsce przeno-
[sni, 5)
Czułem w łonie, że serce uderzyło głośniej.

Niby dziewczęta nasze na wybitym toku
Zmijały w czarne kopce rodzynek granaty;
Kilka kolumn korynckich w przesrebrnym obłoku
Morskiej pary, w kamienne rozwiniętych kwiatach,
Świadczyło o Dyanny srebrzystej uczczeniu, 6)
Choć czyste Bóstwo—serce me było w płomieniu.

Nie wiem, ale w tych miejscach był wdzięk nie-
[widzialny,

Który na ustach moich ciągnął pieśń zaczynał;
Jakdybym ja był jeden głos dawniej choralny,
Który o wielu dźwiękach już pozapominał,
I z wielą się głosami bratnimi 7) rozłączył,
A teraz jak 8) samotny przyszedł, aby skończył.

1) Po tym wierszu następują
„Dostać się (dobić się) miejsca, które się należy,
„Małemu nawet rosnąć człowiekowi,
„A nie opuścić nic z własnej pokory,
„O, jakże łatwo postępować bystrze“.
2) „Jako Spartanin dał się z Leonidem“.
3) „w rachunek“.
4) „miłości stanął“.
5) W autografie: „przenosi“.
6) Po tym wierszu następuje:
„Młodość, czystość czerwona w piękności kamieniu“.
7) Zmieniłem dla rytmu: „braterskiemi“.
8) Czyby nie wypadało tutaj czytać „już“? (Pr. Red.).

*SCENA III.

Archidamia. — Agezystrata. — Agiatis.

*Archidamia

O, biedna Sparta!

*Chorus

Ciszej! kto mię woła?

*Archidamia

O, biedna Sparta!

*Chorus

Archidamii lament.

*Agezystrata

Wraca przerażona z kościoła
Matka nasza.

*Archidamia

Nieszczęście i zamęt...

*Agezystrata

Archidamio—mów!

*Archidamia

Agezylausz.

*Agezystrata

Co?

*Archidamia

Ten Efor przeklęty, nietylko że mego wnuka
zgubi, ale Spartę całą do zguby doprowadził! Ach!
my kobiety mamy serca Spartanek i ta młodzież,
która wyszła z Agisem, Spartę mężką wyniosła;
reszta, która tu została, schowałaby się pod moją
spódnice.

*Agezystrata

Cóż się stało?

*Archidamia

Apollo ich przemienił w żaby, siedzą około
świątyni Eforów i skrzeczą. A nie mają siły te-
go skąpca Agezylausza, który dodał do roku mie-
siąc trzynasty z łaski i rozdzielił go rokowi,
aby mu trzynastą złotych wyciągnął języków, nie
mają tu siły kalendarz mu wypisać na grzbiecie i
na łbie łysym postawić mu kompas, 1) zatkną-
wszy w nim dzidę miernika. 2)

*Agiatis

Agis wróci i wszystko naprawi!

*Archidamia

Milcz mi! Agiatio ty jakaś! Panieństwo Agisowe-
go rządu przepadło 3). Agis znajdzie serca skwa-
szone, zastanie trzynastą miesięcy w roku, a
w kieszeniach spartańskich—zaćmienie słońca.

*SCENA IV.

*Poprzedni.

*Archidamia

Ha! to ty?—astronomiel?

*Agezylausz

Słyszałem, żeś waćpani narobiła wrzasku w ko-
ściele.

1) Pierwotnie: „zrobić mu kompas czasu“.
2) Poprawki tego ustępu spisane ołówkiem, są dziś prawie
zupełnie starte.
3) „wzięte“.

*Archidamia

Wrzasku i blasku—co?

*Agezylausz

Lud się nieco waćpani krzykiem pocieszył.

*Archidamia

Jak ja lud poruszę, to waćpan weźmiesz duszę
na plecy i uciekniesz z czerwonego krzesła do
świątyni strachu, pięcią ranami bolesnemi okryty.

*Agezylausz

A kiedy to będzie? Słyszycie, panowie Demades
i panie Demochares? zapowiada rzeź Eforów.

*Archidamia

Zapowiadam ci czerwoną godzinę!

*Agezylausz

A za co?

*Archidamia

Boś syna mego oszukał—prawo podziału ziemi
zwlókl, a z długów się uwolnił!

*Agezylausz

Bóg widzi, że podział ziemi był zawczesny.

*Archidamia

Demady! Demochary! wy, przyjaciele, Agisa
w domu moim wychowali—powiedźcie co było da-
wniej, a co teraz? Co rok—o, tu, we framudze—
sześćdziesiąt dzbanów oliwy, a tu sześćdziesiąt
kopców rodzynek korynckich. Stodół moich bał
się Bóg 1) głodu; gdy przetrząsano cynamon w spi-
żarniach, miasto 2) kichało. Teraz ja wynieść ka-
załam wszystko na ulicę, z kieszeń nawet prosek
wytrząsałam. Klucze rzuciłam do źródła Dyanny.
Ślubowałam na czystość spiżarni—ja stara spar-
tańska klucznica, do której Bachus przysłał
z nieba po wino stare dla Alexandra Macedoń-
skiego, gdy dostał 3) żółtaczkę, widząc sławę mo-
jego Agisa. Ja wszystko wydałam, nakarbowane
długi odpuściłam, aręd się wyrzekłam, oleju nie mam
na lampę: a ty mi trzynasty ciemny miesiąc Efor-
ski wysforowałeś i podatkami astronomujesz, jak
egipski magister!

*Agezylausz

Nie widzisz waćpani, że ja, miesiącem dłużej
zostając Eforem, mogę być wielce użyteczny kró-
la Agisa zamiarom.

*Archidamia

Masz ty swoje własne zamiary, a ufasz, że cię
syn Hipomedon od stryczka obroni! Ja, stary
duch, ja widzę twego ducha i widzę co on widzi i
jeszcze coś więcej. Głupi jesteś starzec, bo my-
ślisz, że oszukaństwo jest rozumem i sam oszuku-
jesz własną nieśmiertelnością. Idź! idź! kop twoje
dół kreciane! Ja sama nie mogę przeciw Bo-
gom, ani chcę czynić tego, co Bóg musi....

*Agezylausz

W zupełny szal wpadła ta szanowna matrona.

*Archidamia

Dziewczęta! płótna bielić na łąki!

Dziewki

Idziemy, matko.

*Chorus

Duch Sparty gadać zaczyna przez usta,
Co, jako róży zwiedleń listek siny,

1) „korynckich; w stodółach od ziarna głód uciekał“.
2) „spiżarniach, dziewki...“
3) Następujący wiersz, zaczynający się od słów „I przed
strach, Boży“ przekreślony.

Drżą już na wietrze. Z twarzy, co jak chusta
Zmięta, śmiertelna—na pozłotowiny
Błysnęła pierwsza błyskawica pusta,—
Duch, świadek przyszłej i przeszłej godziny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Paczuski był wściekły; przyjaciel jego, Józio, milczący i zadumany, nie wypowiadał co myślał, wstrzymywał od kroków zbyt stanowczych; trochę bronił Horpińskiego, zresztą zachowywał się neutralnie... Potrzeba było ostudzić wistocie zrozpaczonego człowieka, który się odgrzał tem mocniej, że sam nie wiedział, jak nieprzyjaciela, wielce ostrożnego i zręcznego, pokonać potrafi. Przychodziły mu najdziwniejsze myśli—ale jedno od drugich mniej możliwe do wykonania.

Józio radził czekać i uzbroić się w krew zimną, co zakochanemu najtrudniejszym było.

W takim stanie ducha spotkała biednego Emila niespodzianka, która mu była bardzo na rękę. Jednego ranka, gdy wzbudzony rozmyślał, co ma począć, aby tego nieszczęsnego Horpińskiego się pozbyć—usłyszał żwawą rozmowę w przedpokoju. Służący Paczuskiego, dobry chłopak, przywiązany do niego, nadzwyczaj wrażliwy, miał to do siebie, że się swojego pana humorem niezmiennie zawsze przejmował. Gdy Emil był wesół, Stasiuk szalał, gdy się gniewał, sługa stawał się nieznosnym, i przychodzącym do pana mocno mocno to uczucie dawał.

Tym razem sprzeczka jakaś u drzwi była tak głośna, że wywołała Paczuskiego do przedpokoju. W progu stał elegancki pan Konrad, niegdyś lokaj Emila, później Horpińskiego, dopominający się rozmowy z panem Paczuskiem, której Stasiuk mu stanowczo odmawiał.

Zobaczywszy wybiegającego Emila, Konrad dumnie na stronę odepchnął Stasiuka i wszedł wprost ku niemu.

— Mam do pomówienia z jaśnie panem — odezwał się wzrokiem tryumfującym, mierząc przeciwnika.

Paczuski skinął, aby szedł za nim, a Stasiuk szczerotkę, którą trzymał w ręku, cisnął z gniewem do kąta.

P. Konrad, chmurny, wsunął się do saloniku i powtórzył zniżonym głosem:

— Jaśnie pan pozwoli słów parę!

— Mów—proszę.

— Porzuciłem Horpińskiego—odezwał się Konrad — z tym człowiekiem wytrzymać nie można. Gdybym mógł u jaśnie pana miejsce znaleźć?

— Jakżeście się rozstali z nim? — wtrącił Paczuski, żywo zajęty.

— Jak?... najgorzej! Z uczciwymi, delikatnymi ludźmi, ten jegomość obchodzić się nie umie. Musiałem mu prawdę powiedzieć.

Wzbudzony, stał chwilę Konrad.

— Pan byleś ciekawy się dowiedzieć co o Horpińskim — dodał.—No! lepiej nademnie nikt go nie zna... To... to jest człowiek...

Konrad począł głową kiwać i przez chwilę mówić nie mógł.

— Com powiedział, że ja go znam—ciągnął dalej po chwili — to tak się ono mówi, bo jego nikt w świecie nie zna, tak się on z sobą kryje... ale, że ma coś do ukrywania — to ja wiem najlepiej. To ptaszek!... to ptaszek!...

Z nadzwyczajnem zajęciem słuchał Emil, i widząc, że Konrad bojaźliwie się na drzwi ogląda, jakby się obawiał podsłuchania, skinął na niego i zaprowadził go z sobą do gabinetu.

— Mów śmiało—zawołał—mów... Ja też mam powody, dla których tego jegomości radbym znaleźć i coś o nim wiedział. Będę ci wdzięcznym, gdy mnie objaśnisz.

Miejsce u siebie lub inne ci znajdę... ale, cóż ten twój Horpiński?... co to jest za zagadka?

— Bardzo dobrze jaśnie pan go nazwał, zagadka—odparł Konrad—kto wie, gdyby ją odgadnąć, co by z tego wyszło... Porządny człowiek, proszę jaśnie pana, nie zacierza za sobą śladów, jak lis ogonem. Ja panu już raz, zdaje się, mówiłem, że on od czasu do czasu mi tak zniknął—na dwa, trzy tygodnie, jakby w wodę wpadł.

No—pańska fantazyja!—mówiłem ja sobie w początku...—ma może kochankę, albo co... Niechaj sobie... W końcu jak mi zaczął powracać do domu nie swój, zmęczony, brudny... zdziżyły—piknęło mnie: co u licha on robi... gdzie się podziewa— a tu przypadek nastąpił, że języka dostałem.

Paczuski zbliżył się zaciekawiony.

— Gdzieś, proszę jaśnie pana, koło Garwolina, w kolonii jakiejś, w lichej chacie, w której jest tylko dwu parobków i dwie stare baby, zamyka się i—licho wie, co tam robi. Tego się nie można było ani dowiedzieć, ani spenetrować.

Tu Konrad znowu wpadł w jakieś rozgorączkowanie dziwne.

— Kto go wie? Może do jakiej bandy rozbójników należy, może pieniądze fałszuje... a po co by się krył! na co-by się tail?

Zamyslił się Paczuski.

— Jakżeś ty tego doszedł?—zapytał.

Konrad nie chciał się do szpiegowstwa przyznać.

— O to tam mniejsza, jak ja języka dostałem—rzekł,—ale mogę jaśnie panu zaręczyć, że to święta prawda.... Człowiek jest nieczysty... słowo daję.

Pomilczał chwilę Konrad i począł dalej:

— Nie raz powracał do domu z tych swoich polowań—jak on je nazywał—miałem pilną baczność na niego. Licho wie, co on tam robił—ale trzeba było widzieć ręce jego. Zazwyczaj pięści się z rękami, dłubie, czyści, myje; a bywało, jak wróci po długiej niebytności, — trzeba było się zdumieć z jakimi! Zamulone, zgrubiałe, poszarpane, podrapane, czarne... że się domyć nie mógł i kilka dni rękawiczek nie zrzucił. Twarz osmalona, opalona, skóra zgrubiała... O sukniach już nie mówię, co się z niemi działo.

Całe to opowiadanie Konrada, choć dosyć zajmujące, tak było niejasne i mało zrozumiałe, że Emil dotąd żadnego wniosku z niego wyciągnąć nie mógł. Słuchał, rozważał i gubił się w domysłach. Lecz, że go to dosyć poruszyło i zimnej krwi, zalecanej przez Józia, nie mógł wyrobić w sobie,—musiał rozmowę bardziej wyczerpującą z Konradem odłożyć do zupełnego uspokojenia.

Zaprosił go na popołudnie, chcąc na tę konferencję śledczą, wezwać w pomoc przyjaciela Szalawskiego. Józio, po którego pobiegł w ciągu dnia — gdy mu wypowiadał się ze wszystkiego, wręcz odmówił wszelkiego współudziału.

Połażał go nawet na to, że ze służącymi się wdawał w spiski nedorzeczne, głupią zemstą natchnione. Jak zmyty, poszedł Emil, ale to go nie powstrzymało od popołudniowego badania Konrada.

Niewiele więcej już mógł wydobyć z niego, oprócz narzekan i oczywistych potwarzy, na czczych domysłach opartych. Jedno tylko było bardzo jasne i pewne: to owe tajemnicze wycieczki, których celem być miała kolonia pod Garwolinem.

Tajemnica życia Horpińskiego tam być nieochoybnie musiała. Konrad poprzysięgał, że nie gdzieindziej zbiegał Horpiński, tylko tam, i że ani polował, ani odwiedzał nikogo — siedział zamknięty w towarzystwie tych dwu starych bab i parobków.

Kolonia miała być położoną na uboczu, zdala od gościńca, osamotniona, otoczona laskami i zakryta od ciekawych oczu sąsiadów. Nie była wielka, a gospodarstwo na niej wcale nie osobliwe, starania i trudów około niego żadnych nie okazywało.

Dzień, dwa, trzy, Paczuski spędził wypytyując Konrada, wziął go do siebie, choć służącego nie

potrzebować i biedę kupił, bo ze Stasiukiem elegant Konrad był w nieustającej wojnie. W ciągu tego czasu, ponieważ Bydgoska i córka jej coraz go zimniej przyjmowały, a pan Leon Zagłoba widocznie zyskiwał u nich—Emil doprowadzony został do tego stopnia zaciętości przeciw Horpińskiemu, któremu swe niepowodzenie przypisywał, że postanowił bądźco bądź zdemaskować wroga.

Józio Szalawski, któremu się zwierzył, nie potrafił go ani w dobry sposób, ani surowością powstrzymać od spełnienia tego, co nazywał: niedorzecznością — wyrażając się łagodnie. Wymógł tylko zaklęciami uroczystymi na nim, że Konrada przynajmniej nie weźmie do spółki i wcale mu się nie zwierzy z tego, co ma począć.

— Zamiast siedzieć przy Maniusi i odzyskać coś stracił, pewnie z własnej winy w jej oczach—rzekł w końcu—leczysz Bóg wie gdzie, nie wiedzieć za czem... i przyznać się nawet nie będziesz mógł przed nikim, jakie znalazłeś głupstwo...

Co ci do tego człowieka??

Wszelkie rozumowania rozbijały się o bezsilną chęć zemsty Paczuskiego, który, z łatwowiernością dziecka, dawał Konradowi wmówić w siebie, że Horpiński mógł być—bodaj zbójem, głową jakiej bandy, lub fałszerzem monety...

Ostatnie przypuszczenie szczególnie się prawdopodobnem zdawało, zarówno słudze, jak panu.

— Proszę jaśnie pana!—mówił Konrad—złak u niego-by mogło być tyle pieniędzy?... a te ręce zasmolone i popalone? Każdy, co się bogaci, przecie widać i wiadomo z czego, a u niego grosza nigdy nie brak, zdaje się, że coraz go więcej. Zkądże on go bierze?

Właśnie jakoś w tym czasie w istocie i asygnaty podrobiane i kupony fałszywe zaczęły się tu i owdzie ukazywać. Domyślano się pochodzenia ich z zagranicy—któż wie?? Emil gotów był przypuszczać, że ten wykształcony, poważny, napozór tak czysty człowiek, mógł się zabawiać przemyślem tego rodzaju. Sam on nigdy-by na podobną myśl nie trafił; podsunął mu ją p. Konrad, który się zdobył na nią i uparcie przy niej obstawał.

Emil łatwo fantazyą bujną dorobił, co brakło lada jakiemu pomysłowi, gdy raz go sobie wbił w głowę.

Nosił się z tem przez kilka dni i w końcu zbudował z tego mrzonkę, która mu się już niesłychanie prawdopodobną wydawała...

Co mógł w istocie robić taki człowiek, jak Horpiński, w nędznej chacie, w której nie było nikogo, nad dwie stare baby? O polowaniu w okolicy słyhać nie było. Konrad zaręczał, że wycieczki te trafiały się w porach roku dla myśliwych wcale niewłaściwych. W okolicy dworów i sąsiedztwa nie było, któreby p. Sylwana mogło pociągać.

Zapowiedziawszy, iż na kilka dni musi na wieś się oddalić, pożegnawszy p. Bydgoską i Maniusię, która dosyć obojętnie rączkę mu podała przy rozstaniu, nie przyznając się Konradowi (w tem rady przyjaciela usłuchał) — Paczuski wyruszył do Garwolina. Nie miał czem upozorować tej wycieczki, ale spodziewał się na miejscu znaleźć jakieś środki do wywiędzenia się, rozpatrzenia i pokierowania dalszem postępowaniem.

Zdawało się Emilowi, że potrafi sobie w tem dać radę, chociaż charakter jego, temperament—nawyknięcia wcale go do tego nie uspasabiały. Najmniej się zdawał na takiego prześladowcę i szpiega, który cicho i cierpliwie tropi ofiarę—aż w chwili upatrzonej, rzuci się na nią, pewien zwycięstwa.

Droga do Garwolina powiększyła tylko wywiezioną z Warszawy gorączkę. Emil jechał na bryczce pocztowej, bez sługi, z małym tłumoczkiem, w jaknajskromniejszym stroju i z mocnem postanowieniem odegrywania jakiejś roli, o której zawczasu jasnego pojęcia nie miał.

Zajechał—do najlepszego tak zwanego Hotelu, co w Garwolinie wielkiego znaczenia nie ma. Gospoda była utrzymywana przez Izraelitę w sposób właściwy prowincyom, wymaganiom podróżnych i gości z sąsiedztwa.

Wiadomo, iż w zajazdach podobnych, ani zbytnią czystością, ani wytwornością do życia po-

trzebnych przyrządów się nie grzeszy: tu też nie było ani tak źle, aby wytrzymać nie można, ani tak dobrze, by się zasiedzieć chciało. Troszkę popsuty i do wygódek przywykły Emil, — znalazłszy się w dziwnym zapachem jakiejś stęchlizny przejętej izdebce, o dwóch zasmolonych oknach, tarczaniku, stoliczku i prostych stolkach — uczuł się bohaterem, iż na taki utrapiony pobyt w dziurze brudnej się narażał. Była to nowość dla niego, a gdy nieco później zapragnął się posilić i przyniesiono mu jedzenie i napój, których nazwy obiecywały wcale co innego, niż rzeczywistość dawała — zawahał się nieco, czy w tem bohaterstwie o głodzie i stęchliznie wytrwać potrafi. Na powietrze zamkniętej izdebki porażem mógł sobie, otwierając okna, i wpuszczając razem roje much i nieznosne gorąco, przynoszące z sobą wyziew pobliskich gnojów stajennych — na złe jadlo nie było sposobu. Próbował oswozić je od sosów i sprowadzić do najprostszego wyrazu, ale mięso było do nieukaszenia i wszystko, nawet chleb do nieprzelknięcia.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NOWINY PARYZKIE

Paryż d. 1 Lutego 1884 r.

Nowy Rok—nowe zadania.—Kwestya śmiecia paryzkiego i gałganiarzy. — Co się znajduje w paryzkich śmieciach i jaką one mogą mieć wartość? — Gałganiarze i ich liczba. — Nowe rozporządzenie prefekta. — Następstwa i drwiłki Paryża. — Kwestya robotników bez roboty, twardy do zgryzienia orzech. — Środki zaradcze. — Lombard i wydanie bezpłatne zastawów. — Co jest pod spodem filantropijną pokrywą? — Wystawa artystyczna XVIII wieku. — Ciekawe i najciekawsze przedmioty tej wystawy. — *Pot-bouille* p. Zola na scenie. — Czemu winno swe powodzenie w *Ambigu*? — Znakomity dramat p. Ohnet'a: *Maître des Forges* w *Gymnase*. — Kilka słów: *O świecie gdzie się nudzą*, z powodu ostatnich akademickich recepcji. — *Pailleron* i *Caro*. — Otwarcie przebranego kursu w Sorbonie — Wykłady p. Caro i jego nowa książka o *Filozofii Rivarola*.

(Dokończenie)

Przypuszczam, że czytelnicy moi wiedzą już, jak się z tego założenia wywiązał p. Zola — mówię przypuszczam, bo tu nie chodzi o rozbiór dawno już zapowiedzianej powieści, ale o dramat, który niejaki p. Busnach, patentowany urzędnik do nicowania powieści na dramata, wydobyl z *Pot-bouille*.

Ten dziwny trochę z pozoru tytuł: *Pot-bouille*, znaczy popolsku właściwie: *rosół*. Wyraz prawdziwy i utarty, jest: *Pot au feu*, z czego, żołnierskim terminem, zrobiono *Pot-bouille*. Przysłał on, użyty nawet w powieści, jak to powiadają, — jak pięść do nosa; ale o to się nikt nie troszczył... w dramacie zaś, który jest tylko streszczeniem tej rozwlekłej powieści, niema on ani znaczenia, ani związku ze sztuką; bo trzeba by wyszukiwać dopiero tej konsekwencji z rozmaitych poplątanych sytuacji, że ci, których jedynym zadaniem powinno być gotowanie smacznego rosółu i czerwanie pończoch, lepiejby zrobili, siedząc w domu, niż, gdy jak dziś rzucają się na głupie i śmieszne malowanie wielkiego świata!

Powiadają, że sam p. Zola — *ipse Zola*! przyłożył rękę, do zapełnienia ram, przygotowanych przez owego-to Busnacha. Nie wchodźmy w to — a jakkolwiek byłaby tu część każdego ze współpracowników, to jedno można powiedzieć, że dramat gorszym jest jeszcze od samej powieści.

Ala znalazł swój swego. Odegrany na scenie teatru *Ambigu*, naszpikowany tłustemi rzeczownikami, i tłustszemi jeszcze przymiotnikami, zachwycił swoją lokalną publiczność, która ma za zasadę: *Les paroles ne puent point*, i grzmiącemi oklaskami, cowieczór podkreśla, najbezpieczniejsze wyrażenia i najwstrętniejsze sytuacje dramatu. *Pot-bouille* zapełnia kasę teatralną; a to było przecież głównie zadaniem spółki.

Czyżby to powodzenie znaczyło, że sztuka ma jakąś wartość literacką, albo dramatyczną? Nie — publiczność tego teatru, po większej części, jest to śmietanka szlifbruków z przedmieścia, „Alfon-sów“ i „Uwrierów“, z nazwiska tylko, bo „Uwrier“

prawdziwy w tem się nie rozmiłuje. Schlebia tej zawistnej massie mieszczańska brzydota, opoliczkowana, obryzgana błotem, które p. Zola umie zbierać tak skrzętnie do swego kałamarza. I tłuszcza, patrząc na to sponiewieranie wszystkiego, co żyje poza jej obrębem — klaszcze w ręce i wrzeszczy na całe gardło: *bravo, bravissimo!*

Zadowolony Zola napisał nawet przedmowę do tego dramatu, drukowanego osobno. Tłumaczył on w swem przemówieniu *pro domo sua*, że malowanie szkaradnych obrazów i używanie brudnych i nieprzyzwoitych wyrażen było zawsze przywilejem francuzkiego teatru i stanowi właśnie cechę swojego czasu — szczególnie teoria i dziwna estetyka! ale przyznać potrzeba, że dziś praktykuje się to na ogromną skalę. Niedługo ci Francuzi uczyli świat cały oglady i grzeczności; a dzisiaj, swoich i obcych częstują odpływem rynsztoków. Trzeba to powtarzać, ciągle i głośno — u nas szczególnie — gdzie to „Ostrożnie z ogniem“ jest tak potrzebne.

Ażeby skończyć z teatralnemi nowinami, zostaje mi jeszcze do powiedzenia kilka słów o sztuce wystawionej w teatrze *Gymnase* z wielkiem i zasłużonem powodzeniem. Jest to również przeróbka z powieści p. Ohnet'a, pod tytułem: *Maître des forges* — tytuł trochę trudny do wytłumaczenia, jak wszelkie wyrazy techniczne — ale mniejsza o to; tytuł odgrywa tu najmniejszą rolę, bo dramat ten, choć gwałtowny, lecz piękny, nie w tytule, ale w swej naturze i w rzeczy znajduje największą wartość.

Temat to przecież nie nowy. Małżeństwo dorobkowiec z córką arystokratycznej rodziny; — ślub demokracji z arystokracją: to właśnie na czasie... kwestya paląca! Ale tu dorobkowiec jest prawie ideałem swej kasty: jest to człowiek rozumu, serca i charakteru wielkiego — a i córka panów nie ustępuje mu pod względem przymiotów umysłu i serca. Cały dramat wychodzi, a raczej wypada, jak elektryczna iskra, z zetknięcia się tych dwóch potężnych, ale wrogich żywiołów — jakby dwóch ras przeciwnych sobie. Obmyślany dobrze, osnuty porządnie, nie razi i nie oburza, choć, jak mówiłem: jest arcy-gwałtownym.

Panna wielkiego domu, przyrzeczona już prawie dalekiemu kuzynowi swojemu — to heroina dramatu. Kuzynek dyplomata, w dalekiej gdzieś stolicy obcej, pilnuje kariery, i tak jej pilnie strzeże, że prawie opuszcza kuzynkę. Los twar-dy naciska zwykle swoje ofiary — jednego ciosu nie dosyć: znajdzie się nowy pocisk. Naraz matka wdowa dowiadyuje się, że całą prawie stracili fortunę. Ale notaryusz, który do zamku tę straszną wieść przynosi, przywozi też i leczący kordy-jał. W sąsiedztwie jest wielki przemysłowiec młody, rozumny, bogaty, — a więc, wszystko się może naprawić: przemysłowiec bowiem kocha pannę z zamczyska. Wszystko to zostaje tajemnicą dla panny.

Dyplomata karyerzysta, który wiedział o majątkowym krachu kuzynki, — w inną stronę zwrócił swe poszukiwania, i znalazł łatwo żadaną kompensatę, żeniąc się z córką, również przemysłowca — ale przemysłowca z nieczystymi rękami. Ten zwrót, bolesny dla miłości własnej kobiety, choćby nawet królową była, decyduje o losach arystokratycznej bohdaniki, i szczęśliwy Darblay, (tak się zowie demokrata sztuki) — żeni się z panną swojego serca.

Ala kobiet... tak często zmienna — żałuje może przegranej, w chwili, kiedy się spełnia ofiara; a nieświadoma straty własnego majątku — myśląc że przemysłowiec — wszak to demokrata — dla owej-to fortuny ją poślubił, pierwszego zaraz wieczora, podrażniona obecnością niewiernego, ale tak arystokratycznego kuzynka, który też w gruncie może żałuje za grzechy — pierwszego wieczora tak ostro się stawia mężowi, że przychodzi od razu do ostatecznego zerwania.

— Niech tak będzie — powiada Darblay, zamykając drzwi sypialni — rozdział wieczny, ale gdybyś żałująca na klęczkach błagała, nie przebaczę ci! Nie, nigdy! — bo rozumie, że ona zawsze kocha swego kuzynka.

Następuje śmiertelna choroba żony — tajemnicza, ale troskliwa pilność Darblaya — przypadkowe odkrycie, że on ją wziął ubogą i wyratował ro-

dzinę jej z nędzy... pojedynek Darblaya z kuzynem żony, w którym, żałująca za grzechy i nakoniec świadoma miłości mężowskiej, odbiera żona ranę lekką, zasłaniając męża. Zgoda i miłość i ta konsekwencya, że tylko na gruncie uczciwości i wyższych uczuć może nastąpić zgoda i ślub wieczysty demokracji z arystokracją!

Ten szkic pobieżny, wiem, że nie daje, chyba słabe i dalekie podobieństwo sztuki... ale dla czytelników, którzy jej nie widzieli na scenie — aby im zadość uczynić, trzeba całą sztukę przepisać. Tego nie możemy dopełnić; dosyć powiedzieć na *Valete*, że sztuka ta, napisana jest z prawdziwym, dramatycznym talentem — a do tego, ma tę niezmierną zaletę, że od początku do końca pomyślana i napisana jest poczywie i zacie. Zaleta to dziś nie lada — a w tym razie, i po *Pot-bouille* jest to jakby bukiet prawdziwych fiołków z Parmy...

Czytelnicy moi pamiętają może jeszcze, że na tem tu miejscu, mówiąc w swoim czasie o nowej komedji p. Pailleron'a: „Świat gdzie się nudzą“, starałem się podnieść ledziutkie maseczki, pod którymi złośliwy autor ukrył rozmaite, a nam tu dobrze znane osobistości z wielkiego świata, pomiędzy nimi zaś główną osobą sztuki: słynnego Bellaca, przeciw któremu wymierzone były najostrejsze pociski satyryka.

Od tego czasu wiele wody upłynęło w Sekwanie, mnóstwo się rzeczy zmieniło. Sztuka Paillerona, dzięki reklamom przyjaciół, — a autor, człowiek zamożny, trzymający dom otwarty, przyjmujący uprzejmie każdego, ma ich tu bez liku — sztuka Paillerona — powiadam — obiegła świat cały, postarzała się — grano ją na wszystkich scenach, grano też i u nas w Warszawie... Słyszałem, — doszło mi ztamtąd echo ogromnych pochwał... Przyznam się do grzechu: dziwiłem się temu zachwytowi — bo ta komedya, w której nie ma ani intrygi, ani dobrze związanej akcji; której sceny, zestawione bez wielkiego mozołu, nie stanowią zajmującej jedności działania; która całą swą wartość, tutaj nawet, znalazła jedynie w częstych a uszczypliwych alluzjach do pewnych osób, alluzjach niezrozumiałych dla cudzoziemców, jako czysto brukowych paryzkich — komedya ta nie jest, nietylko arcydziełem, ale nawet dobrą sztuką dramatyczną, na jakich tu nie zbywa. Jaki więc był powód do tak wielkich jej pochwał u nas... gdzie się już dostała w tłumaczeniu polskiem... a więc, jak dywanik, z odwrotnej strony?...

Dziś już zapomniano tu prawie o komedji, a dziwnem zrządzeniem losu, szczęśliwy jej autor wybrany został na członka Akademii Francuzkiej — gdzie za kollegę, o mało-co nie za przyjmującego do zacnego areopagu, miał właśnie owego Bellaca (Caro), który, z całą grzecznością i uprzejmością dobrze wychowanego akademika, dał mu swój głos — nienasładować w tem jednego ze sławnych swych poprzedników w tejże akademii: kardynała Mazariniego. Ten, wysmiewany w piosenkach, zwykł był mawiać do poufałych mu dworaków: „Śpiewają oni — ale będą płacić“!

P. Caro zresztą, jako filozof z professyi — filozoficznie przyjął te satyryczne przyczinki i jakby chcąc lepiej jeszcze oznaczyć łagodność swego charakteru, wrócił w tym roku do swej od dwóch lat opróżnionej katedry w Sorbonie — wrócił i był gorąco przyjęty od tej publiczności, złożonej dziś wyłącznie ze słuchaczy czysto naukowych, umiających gruntownie i właściwie ocenić obszerną wiedzę i wielkie zalety swego profesora.

Tym razem p. Caro, jakby chcąc położyć większy jeszcze nacisk na swój rozbrat z Bellaciem i z ową miłą wiązką uprzejmych słuchaczek z wielkiego świata, opuścił salę, tak zwaną „Salle Gerson“, w której otrzymał był ongi tak świetne, ale trochę za hałaśliwe powodzenie, a w którym znalazła się i pewna strona śmieśności, tak zresztą schwycona przez Pailleron'a, i wrócił do zinnego, trochę brudnego amfiteatru w Sorbonie i znowu zasiadł na tym, trochę zuży-tym, zszarzanym fotelu — przedstawiającym to, co się zowie katedrą, ale na którym tyłu znakomitych poprzedziło go ludzi.

Znikły tu dawne, świetne, ale trochę dziwne, uczennice. Poważni słuchacze, młodzież ucząca się i pilna, zajęła ich miejsce — a jakby dla większej

sprzeczności kilka bab starych z legendami koszar, (cabas), towarzyszy młodym podlotkom panienkom, zapisanym na kursa Sorbony. Otóż wobec tej zmiany sam tylko professor pozostał tem, czem był dawniej: wymownym i pełnym nauki filozofem i czysto, pięknie nawet modnie ubranym światowym człowiekiem.

Wykład p. Caro jest czysty i jasny, jak każdego człowieka, rozumiejącego przedmiot, o którym rozprawia, i samego siebie. Czasem przyspieszane zbyt słowa, płyną może zbyt szybko—bo professor, chociaż mówi z pamięci, widocznie nie improwizuje, ale naprzód przygotowaną lekcję, dobrze się jej wyuczywszy, płynnie wyklada. Głos przyjemny, donośny, wysłownienie bardzo poprawne, nawet wykwinne czasem—dobrze usposabiają słuchacza.

W pierwszej, wstępnej, swej lekcji, p. Caro, oddawszy zasłużone i sprawiedliwe pochwały swojemu chwilowemu zastępcy w Sorbonie, skreślił w głównych zarysach—dobitnie i jasno, przeszły swój wykład o Darwinizmie i przeszedł szybko dla programu tegorocznego kursu, którego przedmiotem ma być filozofia natury (*Philosophie de la nature*). Professor zresztą wyraził się następnie w tym względzie: „Teraz przystąpię wraz z wami, panowie, do tej filozofii wyższej, która zamyka w sobie zasady i przyczyny wszelkich stworzonych rzeczy. Będziemy roztrząsać z kolei: czem jest natura sama przez się i w sobie samej? i czem jest ona, w tej niezmiernej rozmaitości swych tworów?”

Następne lekcje p. Caro pozostały więc w granicach, ściśle naukowych—a jego świetne wysłownienie się, wielka i głęboka znajomość przedmiotu, dają mu niezmierny wpływ na słuchaczy, którzy odnioską większe i pewniejsze korzyści, niż to błyszczące grono—świetnych, ale pustych *światówek* (*mondaines*), przepraszam za ten neologizm.

Przed rozpoczęciem lekcji, o których mówiliśmy, wydał p. Caro książkę o *filozofii Rivarola*. Szanowny Kraszewski w jednym ze swych Listów zagranicy wspominał już czytelnikom *Bluszczu*: czem był Rivarol, ten dziwny trochę i zagadkowy człowiek z wieku XVIII. P. Caro starał się wyprowadzić z życia i pism światowego człowieka pewien rodzaj, jakby odrębnego systemu filozofii. Nam się zdaje, że tu Rivarol był tylko pretextem do napisania książki i do zaznaczenia, czem była w ogólności filozofia Encyklopedystów Francuzkich XVIII wieku. Jest to rozszerzony text dawniejszych lekcji p. Caro o tym przedmiocie. Rivarol nie zasługiwał w gruncie, ani na tyle honoru, ani na tyle erudycji. Był to rodzaj naszego Henryka Rzewuskiego: sprytny, złośliwy, dowcipny, ale... ale jako filozof—to chyba cynik!...

Geraldina Calverley

SZKIC Z DZIEJÓW WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ AMERYKI.

(Dalszy ciąg).

Od jednego, do drugiego zachodu słońca serce ludzkie może przeżyć całą gamę najsprzeczniejszych uczuć i potargać najmądrzejszy zamiar wczorajszego namysłu, i tak się stało z Geraldiną. Gdy nazajutrz, na chwilę przed wieczornym capstrzykiem, towarzysze broni, zgromadzeni na placu obozowym, otoczyli kapitana Calverley i wręczyli mu, jako dar pamiątkowy, szablę kawalerzysty z błyszczącym na kłindze napisem: „Nie ustawaj walczyć z wrogiem...” gdy ten ambitny człowiek, rwący się już myślą daleko naprzód, i nie chcący oglądać się poza siebie, wspomnił jednak na ten moment pierwszego wystąpienia do walki za kraj z garstką ludzi, tak wtedy jak i on nieznanym nikomu—gdy uczuł w piersi gorące uderzenie serca, a usta miały wyrzucić słowa, które może byłyby związały jego przyszłość, jak przysięga dana amerykańskiej ojczyźnie—gdy miał może zawołać:—Aż do śmierci stać będę wiernie przy tym sztandarze, który powiewa nad

niemi... cios zacząłonego z tyłu mordercy podniósł się nań zdradziecko i tylko odbiło go, a raczej zasłoniło przed nim sobą poświęcenie przyjaciela. Fanatyczny Anglik, Hiram Mead, który widząc w wojnie Amerykanów z Anglią bunt i walkę świętokradzką, chciał zamordować mściwie tego, który wedle jego mniemania, był pierwszą złego przyczyną, i Ralf Calverley byłby padł trupem od ciosu w plecy, zadanego ogromnym kordelasem, jakiego traperzy kanadyjscy używają do polowania na niedźwiedzie, gdyby nie Filip Honeywood, który ujrawszy niebezpieczeństwo już w tej chwili, gdy go inaczej odrzucić nie mógł, rzucił się naprzeciw niemu z wyciągniętą ręką i otrzymał takie pchnięcie w ramię, że zachwiał się i padł od niego na ziemię, a Geraldina, stojąca na ganku, widziała to wszystko i ledwo przeszła pierwsza chwila popłochu i zamieszania, kochająca dziewczyna uczyniła nagle nowe postanowienie—postanowienie, że jutro zostanie żoną Ralfa! Biorąc w dosłownem znaczeniu wyrazy przysięgi ślubnej, że żona ma być wszędzie tam, gdzie mąż, że żona zatem może tak obronić męża przed ciosem, jak teraz oto przyjaciel obronił przed nim przyjaciela, tej nocy jeszcze napisała do matki, że już ani do niej więcej wróci, ani na słowa jej błogosławieństwa czekać nie może.—„Ach, matko—pisała w liście, który przechował się i jest wcielony do ogłoszonej drukarni jej korespondencji—jakże życie stało się teraz trudnem i spletanem! jakże teraz bez ciebie mogę radzić sobie dobrze, jak wiedzieć, w którą stronę się kierować? Drzę i cofam się na tę myśl samą, że mam się spotkać z losem moim (*facing the future*) bez ciebie obok mnie, bez ciebie, kładącej mi na głowę dłoń błogosławiającą. Ale, ach! matko, ja go nie opuszczę... Nie mogę... Teraz to nie on, ale ja tego chcę... ja...”

List obejmował dwie ćwiartki papieru i jak był skropiony łzami, tak może łzy wywołać, w czytającym. Jakże tkliwe, jakże gorące jest uczucie, które w nim przemawia, a razem jakże silne! Gdy się weźmie na uwagę czasy, w których się to działo, stosunek surowego posłuszeństwa dzieci względem rodziców, ta determinacja młodej dziewczyny, raz pierwszy wychylającej się poza dom swój wiejski, poza ciche sioło swoje, dziewczemini lasami otulone—zadziwia i każe wierzyć, że grunt Ameryki już wtedy rozdzielił kobiety z męskością w duszy. Biedna bohaterka tej opowieści była przecież i kobiecością doskonałą, jeżeli weźmiemy ją przez najtkliwszą czułość serca.

Nazajutrz, jak postanowiła, ślub się odbył. Brała go jednak w czarnej sukni, bo tej za nic w świecie nie chciała zrzucić. O siódmej wieczorem stanęła przed ołtarzem; a przez cały dzień ani na chwilę nie widziała narzeczonego. Napisał tylko do niej parę wierszy, które się też wpośród jej korespondencji zachowały. „Nie mogę się oddalić z koszar do godziny siódmej, nawet dla widzenia ciebie—pisał pośpiesznie, na kawałku papieru.—Bądź gotową na tę godzinę, jeżeli odwaga twoja w nieobecności mej nie upadła. Ale nie, nie powinienem pisać takich rzeczy... ufam ci...”

Odwaga nie upadła, bo ją podtrzymywała miłość taka, która się nie opiera na widoku ukochanej twarzy. Cztery osoby tylko towarzyszyły młodej parze; Filip Honeywood, który wedle poprzednich projektów Calverley'a, miał być dróżką przyjacielowi, leżał w gorączce i ktoś inny musiał zająć jego miejsce. Miriam Sweetapple zastępowała Gerardinie matkę i ona wedle obrzędu kościoła purytańskiego oddała oblubienicę oblubieńcowi.

W cztery dni potem kapitan Calverley pożegnał młodą żonę. Był już na to przygotowany: kazano mu ciągnąć do Cambridge, gdzie była główna kwatery, gdzie był Waszyngton. Armia amerykańska zwrócona była frontem ku Bostonowi, z którego usiłowano wyparować Anglików. Tam dowodził dzielny generał Ward, lewe skrzydło, oparte o miasto Roxbury, było pod wodzą generała Lee, ale choć Waszyngton, zajmujący środkową pozycją, nie ścierał się wręcz z wrogiem, tam ścigano najdzielniejszych ludzi z dawnych milicji, bo tam tworzyła się przyszłość Ameryki, wyrabiała się obrona narodowa i Cal-

verley ruszył pod Cambridge, rad z przeznaczenia swego. Nie opóźnił się też ani o jeden dzień, ani o jedną godzinę pod upojeniem szczęścia i Omfala nie rozbroiła Herkulesa—biedną przecież ona była, ta Omfala, biedną bardzo! Została w Gayfield, bo nie była zdolną odciąć się od wszelkiej komunikacji z mężem, nie wiedzieć o nim nic—nic prócz tego, że cochwila, cominuta może go utracić nazawsze, lub dowiedzieć się, że leży z angielską kulą w ciele, przestrelony, może kaleka bez ręki, bez nogi!...

Straszne myśli! Do Gayfield, gdzie zawsze utrzymywał się obóz i była pewnego rodzaju stacya wojskowa, wiadomości dochodziły prędzej i pewniejszymi już być mogły; tu zatem została nieboga—żoną po czterech dniach małżeństwa. I przebyła tak siedm długich miesięcy, samotna, a w korespondencji jej z tego czasu znajdują się tylko dwa listy pisane do matki, z którą stosunki musiały być trudne i mało bezpieczne, bo w pierwszym, w którym pisze jej: „Tylko cztery dni były mi przeznaczone na to, aby się nauczyć, jak drogą rzeczą jest miłość małżonka...” znajduje się też ustęp taki: „Czyż nie możesz, matko, znaleźć kogoś, abyś z nim przybyła tu do mnie, albo w ostateczności, czy nie masz takiej bezpiecznej eskorty dla mnie, aby mnie mogła zabrać do domu?...” Matka jednak mogła zapewne pisywać do niej częściej, bo w drugim liście, już z Marca 1776 r., w którym donosi matce: „Boston już jest nasz!...” pisze: „Twoje kochane listy, matko, tak w czasach gorzkich niepokoi rozszerzyły mi serce (*opened so wide my heart*), że teraz, gdy przyszedł chwile uciechy, może ono całe opływać w radości”.

Jest to powiedziane dziwnie głęboko i dziwnie mądrze na kobietę w dwudziestym roku, bo słowa te pokazują, że stała się już zdolną zrozumieć jaką mistrzynią życia jest boleść, rozszerzająca serce do pełnego przyjmowania potem innych uczuć i wrażeń. A Geraldina pisała do matki, nie układając mądrze swego listu. Wiadomość o wzięciu Bostonu przez Amerykanów doszła do Gayfield w nocy—w nocy, która była dla niej „najbardziej bezsenną” to jest taką niewątpliwie, w której nie zamknęła wcale oczu i rano zaraz siadła pisać list. „Jakżebym chciała, matko, abyś tu była, i widziała uciechę, nie... głęboką radość, która się objawia wszędzie. Chorągwie powiewają, ludzie kupią się na wszystkie strony, roztrząsając ową okruszynkę wiadomości, która tu doszła nas. Ale coś bliżej jeszcze mnie dotyka i droższe jest dla mnie: to, że nazwisko, które jest teraz mojem—ach! jakże dumnie je noszę! jest w ustach wszystkich, jako nazwisko tego, który czynił wielkie rzeczy i dobrze zasłużył się ojczyźnie...”

W pierwszym liście pisała matce wesoło, że omal nie podpisała się panią swem nazwiskiem, w czem również widać dumę żony z nazwiska, danego jej przez męża—dumę przecież, a nie próżność lichą, nie pychę wyniosłą, jak to pokaże historia jej życia. Duma ta, którą czuła ztąd, że należy do bohatera, do dzielnego obrońcy swego narodu, była jedną z dostojnych stron jej istoty, była istoty tej idealnością, przez którą mogła jedynie pokochać wyższego, szlachetnego mężczyznę.

Ach! biedna... biedna... biedna...

Ukochany przybył do niej, nie zaraz, prawie w miesiąc po zdobyciu Bostonu, gdzie zabierał ją teraz ze sobą; ale gdy przeszły słodkie chwile zachwyty dla złączonych nareszcie, żona spostrzegła, że mąż jest bardzo zmieniony. Nietylko zaszczuplał, i policzki mu zakłęsyły, ale przybyła mu jakaś groźna zmarszczka na czole i chmura posępna, której rozpedzić zupełnie nie mogła nigdy nawet jej miłość. Czuć było w jego wyrażeniach gorycz, czuć było uczucie jakiegoś przykre, nurtujące mu serce, i młoda małżonka odważyła się wspomnieć mężowi o tem. Przytulając się do niego, całując go, zapytała co mu jest?—Co mu jest?—Na ciężką drogę wszedł i niełatwo nią postępować, nie odmładza ona tych, którzy nią idą... odpowiedział a choć chciał przez te słowa swoje skierować troskę Geraldiny tylko na fizyczne strony jego zmiany, serce kobiety czuło, że jest tu jeszcze coś więcej, co go boli. W Bostonie

miał kapitan Calverley swoje, zajmowaną już poprzednio, kwatery, przy której mieściła się zarazem kancelarya jego batalionu. Od czasu zajęcia Bostonu przez wojska amerykańskie mieszkał tu z Filipem Honeywood, który był zawsze przy nim adiutantem jego i przyjacielem serdecznym. Teraz ustąpił on miejsca swego Geraldinie, ale bywał codziennie u przyjaciela; po skończonej robocie w kancelarii przechodził na drugą stronę, do dwóch pokoiów, oddzielonych od kancelarii sienią długiego kurrytarza, i przebywał z młodem małżeństwem prawie całe wieczory. Trwało to przeszło miesiąc; Geraldina usłyszała nieraz wśród rozmowy przyjaciół wyrazy, które ją boleśnie zaniepokoiły, aż raz, gdy mówili ze sobą długo o ruchach wojsk i planach wojennych, przeczem mąż jej nieraz namiętnie głos podnosił i wzruszał się gorąco, uszu jej doleciały słowa wymówione przez Filipa: — Bracie, czytaj Plutarcha, a nauczysz się tej prawdy, że tak narody nie umieją być wdzięcznymi, jak pojedynczy ludzie...

Co to było, do czego się to ściągało? Czy jej Ralf spotkał się z niewdzięcznością, czy nie umiano oceniać jego zasług, lub zapomniano już o nich?

Nie śmiała pytać, lecz od tej chwili szczęście jej przepadło, niepokój się spotęgował. Musiała to jednak kryć, bo mąż stawał się w dodatku niecierpliwym, i dla niej nawet, lękała się go drażnić, dobierała słów mówiąc do niego, choć wiedziała, że ją kocha zawsze namiętnie. Przybrał jej jeszcze jeden pokój, który już zawczasu nazywał pokojem małego panicza, bo w dziecięciu, które miało mu się narodzić, przewidywał zawczasu syna, tak, że zwolna i ona sama zaczęła marzyć, że to musi być syn. Dawniej rzekłaby: syn, który oddziedziczy chwałę ojca... teraz od czasu usłyszenia słów Filipa, coś gorzkiego poczęło ją odgradzać od myśli takich. Słyszała jak mąż rozmawiał z Filipem o nowych nominacjach w wojsku: do dawnych ośmiu generałów brygady przybyło jeszcze kilku; dostało te stopnie i prawa z niemi złączone dwóch partyzantów, Arnold i Allen, i niespokojna myśl kobiety nie z próżności, ale przez miłość dla męża poczęła się truć żalem, ukrywanym jednak głęboko.

I kapitan Calverley musiał dostać jakieś przeznaczenie dla swego batalionu, Geraldina dowiedziała się o tem ze słów pochwytnych; dowiedziała się również, że ociaga się z wykonaniem rozkazu, który przyjął widać niechętnie. Wiedziała to: jej Ralf był codziennie posępniejszy, chmurniejszy, był przytem tak czasami smutny, że serce się w niej rwało i odważyła się na koniec zapytać o to adiutanta Honeywood. Był to wierny przyjaciel i mogła też mówić z nim. — Ralf jest taki smutny — rzekła, gdy byli raz sami — czy ma wyruszyć gdzie?

— Tak — odparł Honeywood — na nieszczęście...

Ostatnie wyrazy wysunęły się bezwiednie smętnie zadumanemu człowiekowi. — Masz pani wielki wpływ na męża, i chęć też prosić jej o rzecz jedną — dodał po chwili namysłu. — Spraw to, aby się nauczył być zadowolonym z losu, jaki mu przypadł. Mów mu, że nie każde życzenie ludzkie się spełnia. Ale nie... mów mu lepiej, że nie od razu dochodzi się do szczytu rzeczy upragnionych.

Umilkł i podniósł się aby ją pożegnać, bo widać nie chciał powiedzieć nic nad to, co już rzekł. Wieczór Geraldina przepędziła samą samą z mężem, przecież nie wiele mogła z nim rozmawiać, bo zaraz po wczesnej wieczery rozłożył na stole wielką mapę i pogrążył się w rozważaniu jej. Geraldina siedziała blisko męża, niespokojniejsza niż kiedy, bo czoło kapitana Calverley było surowo ściągnięte, a czasem śmiał się sam do siebie, śmiechem dzikim, szyderczym. Była to właśnie ta chwila smutna w dziejach powstania amerykańskiego, kiedy przybycie nowego angielskiego wodza, generała Howe, dawało się już uczuć zapowiedzią walki rozpaczliwej na śmierć i życie. Waszyngton poznał to natychmiast i natychmiast chciał tak ugruntować dzieło obrony, aby uniknąć klęsk, które groziły zniszczeniem całego dzieła niepodległości amerykańskiej, ale go nie posilkowano odpowiednio. Kongres uchwalił wielki pobór

wojska, ale rzecz pozostała długo na papierze. Korpus generała Shuylera działał niedołężnie nad wielkimi jeziorami u granic Kanady, i historia zaznaczyła niejedną ciężką chwilę upadku ducha i rozpacz wielkiego męża. Widziano raz leżące się łzy jego, widziano go raz jak chciał z koniem skoczyć w sam środek zabójczego ognia Anglików i trzeba było, aby adiutant pochwylił za uzdę i odwiódł go siłą na stronę. W chwili gdy Ralf Calverley w bostońskiej swej kwaterze, schylony nad mapą Ameryki, śledził na niej ruchy obu armii, nie wybiła jeszcze ta godzina nieszczęścia: jeszcze nie przyszło do klęski na Long Island, ale widział on już zapowiedź tego, co się stać miało. Usta mu drżały, pały mu oczy, gdy, stawiając się w położeniu generała Shuylera, myślał, co by on uczynił na jego miejscu? Ale on — on nie miał do uczynienia, jemu nie dano władzy w ręce, jemu nie otworzono drogi... Wysyłano go do Boltonu dla nędznych utarczek, a tam, tam było takie wielkie dzieło do spełnienia dla tego, kto by je pojmował... Anglicy popełniali błędy, z których nikt nie skorzystał, bo nikt tam ich nie widział.

Raz tak się zapomnieli i razem tak się uniosli, że uderzył ręką w stół. — Patrz — zawołał na przelekną kobietę, posuwając ku niej mapę i trzymając na niej palec. — Tu były otworzone wrota szczęścia, tu była wielka wygrana i wielka chwila do zyskania. Leżało to na ziemi i nikt tego nie podniósł...

— Mógł przybyć narodowi wielki tryumf i wielki bohater — dodał z żalostí posępną i zakrył oczy, może instynktownie, aby żaden wzrok ludzki, nawet wzrok jego wiernej Geraldiny, nie dojrzał mu na twarzy wyrazu, nie samej tylko boleści! Może była tam nie tylko dla niedołężnych pogarda z zazdrością złączona, może tam była jeszcze dla tych, co go odgadnąć i ocenić nie umieli, dla tych, co go pozostawiali na dole — nienawiść...

Był tak wzruszony, że nie mógł wytrzymać wśród zamknięcia ścian czterech. Trzeba mu było zachwycić w pierś świeżego powietrza; wyszedł odetchnąć niem i w samotności przywrócić zburzoną równowagę ducha.

Geraldina czuła, że dzieją się z jej ukochanym jakieś rzeczy straszne. Ogarnęła ją też bojaźń, trwoga niepojęta. Modliła się, czekając na jego powrót, podnosiła ku niebu oczy zalane łzami, wołając ztamtąd pomocy i ratunku, którego ona biedna nie mogła dać Ralfowi swemu, gdy nagle usłyszała na kurrytarzu, przedzielającym jej pokoje od kancelarii męża, kroki. To był on! wracał na koniec! Kobieta wybiegła naprzeciw ze świecą w rękę, aby przecież cofnąć się zaraz w tył w przestachu, bo nieznajomy człowiek stał pode drzwiami kancelarii i pukał do niej.

Pukał przecież bardzo delikatnie, możnaby powiedzieć — ostrożnie. Że przecież nie było tam nikogo, nikt mu nie odpowiedział.

Człowiek ten przyłożył wtedy ucho do drzwi i słuchał. Było w jego ruchach giętkich coś lisa, czatującego na zdobycz. Geraldina rozdrażniona już i zdenerwowana, uczuła przestach aż zabobny. Zdawało jej się, że to jest znów morderca, zakradający się podstępnie, chciała wydać krzyk, ale nie mogła — oniemiała.

Niemniej wyrwał się on wkrótce z jej ust zbiegających. Gdy nieznajomy przybysz odwrócił głowę i znalazł się z nią twarz w twarz, odnalazła znowu głos zamarły. Był to w pół krzyk, w pół jęk głuchy, bo ona widziała już tę twarz w niezapomnianej dla niej nigdy godzinie — widziała ją w Gayfield w chwili napaści na Ralfa Calverley. Patrząc z ganku na dół, zauważyła wtedy dwie postacie, wysuwające się bardzo powoli, bardzo ostrożnie z pomiędzy baraków, które tworzyły pomiędzy sobą jakgdyby uliczki. Coś niezwykle go było w tem zachowaniu się lekkim, co zwróciło jej uwagę i spowodowało ten skutek, że przyjrzała się im dobrze. W jednym z nich, w tym, który poszedł dalej i wmieszał się pomiędzy żołnierzy, poznała potem mordercę; ten zaś, który został na ustroniu, towarzysz Hirma Mead, stał teraz przed nią.

Przelekniona, blada jak śmierć, utrzymała jednak w rękę światło, wahające się od przeciągnięcia drzwi otwartych. Przybysz zmieszany jej krzy-

kiem, zaczął się jednak tłumaczyć, że przyszedł tu wezwany przez kapitana Calverley, który mu wyznaczył tę godzinę dla umowy o dostawę siana dla koni. Był z Bostonu, znano go tu od dawna.

Mówił coś jeszcze, ale Geraldina nie rozumiała go prawie. Jej mąż wyszedł, jej mąż nie wróci prędko, jej mąż nie będzie już miał czasu przyjmować nikogo i w żadnym interesie — bo ona czuje się słabą.

Tak, czuła się bardzo, bardzo słabą, lecz choć na wpół mdlejąca, czekała przecież na męża na dole, przed domem. Księżyc świecił i ona patrzyła niespokojnie, aż zobaczyła go na koniec, postępującego powoli, z głową w dół spuszczoną. Jak go przyjął! jak namiętnie rzuciła mu się na szyję! jak potem łkająca opowiedziała mu zdarzenie! Po twarzy Ralfa Calverley przeszedł ciemno-pąsowy rumieniec, gdy wspomniła o tym skradającym się pociemku do drzwi jego nieznajomym, ale niemniej uspokoił jej przestach. Myliła się: w każdym razie ten człowiek nie pragnął go zamordować, nie... chciał od niego czegoś innego i on to sam naznaczył mu na dziś wieczór widzenie ze sobą, tylko potem zapomnieli się i wyszedł.

Geraldina z pokorą błagała męża, aby wierzył przecuciu jej biednego serca i odpędził od siebie tego człowieka za przerażającym ją obliczem, aby nie dał mu przejść przez drogą swego życia.

Kapitan Calverley słuchał słów kobiety, z dziwnie zmieszany wyrazem twarzy. Jakaś walka, jakaś tajemnicza praca ducha odbywała się w nim, aż na koniec podniósł spuszczone ku ziemi oczy. — Niech tak będzie — rzekł — może być, że kobieta kochająca jest aniołem stróżem... nigdy już nie pozwolę temu człowiekowi przystąpić do siebie.

Geraldina nie wiedziała w tej chwili, jaki tryumf odniosła i od jakiego to mordercy ocalała męża. Nie wiedziała..., przecież cisnące brzemię trwogi spadło jej z piersi, wyciągnęła do męża ręce z wdzięcznością i — zemdląca.

W nocy dnia tego urodziła jej się dziewczyna, córka, która potem dostała na chrzcie imię: Marya. A stało się tak, że ojciec ledwo mógł wziąć ją na ręce i spojrzeć na delikatne, maleńkie stworzenie, w którego nierozwiniętych rysach ludzie widzieli pewne podobieństwo do jego męskiego oblicza. Nazajutrz, skoro świt, wyjeżdżał. Musiał... rozkazy z głównej kwatery powtarzały się i Filip Calverley naglił do tego przyjaciela. Na szczęście, matka nazajutrz przybyła do córki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przez czterdzieści lat.

Przez czterdzieści lat czuć, myśleć, patrzeć na bieg spraw świata i w głąb piersi własnej: to nie tylko zgromadzić sobie zapas ogromny wspomnień i spostrzeżeń, ale, gdy się jest istotą rozumną i duchem szlachetnym, — mieć skarbiec pełen tych klejnotów mądrości, które są z wierzeń i przekonań naszych w ogniu życia skrytykowanymi prawdami. Maurycy Jokay, znakomity pisarz węgierski, a co więcej, pisarz narodowy, jest taki, który każde drgnięcie narodowego uczucia, każdy ruch narodowej myśli „brał w pierś magnetycznie“ uświęcił czterdziestolecie swego pisarskiego zawodu, dając czytającej publiczności niby garść owych klejnotów: tom cały zdań i myśli swoich o świecie i życiu. W Maju r. 1843, napisał na konkurs, którego premjum przynosiło nagrodzonymu dukata w złocie, powieść: „Sąd Boży“; w Maju 1883, skreślił pamiętnik tego, co odczuł i przemyslał. A zaczął go od spojrzenia wstecz na życie własne: co on przez ten czas robił, i co zrobił? Pisał, — i jak wypadło mu z przybliżonego rachunku, bo ścisły stał się już niemożliwym, napisał 265 tomów: powieści, poezji, dramatów, historii, prócz rzeczy drobnych, które dawał do dzienników węgierskich „Ústokos“ i „Hon“ — i aż się sam zadziwił, że pióro jego zapisało taką moc papieru. Pomagało mu do tego życie samo, atmosfera, którą oddychał. Dzieciństwo jego spotykało się ze-

wspomnieniami wielkich Wojen Napoleońskich, jego ojciec sam się bił i miał przyjaciół, którzy się bili; pełno ich było w Węgrzech, i rosnący chłopiec znał osobiście, nietylko takich, co mieli szramy po ranach, ale i kule w ciele. Znał ich i słuchał nieskończonej epopei awantur wojennych, a potem, gdy podrośł na młodzieńca, przybyły mu inne historie: już nie do słuchania, lecz do czytania. Czytywał nocami tomy całe—rzecz dziś trudna do uwierzenia—książek pisanych!... Nie można było w starej Panonii wielu rzeczy drukować, i czytano manuskrypta, które przechodziły z ręki do ręki pocztą przyjacielską. Zapalano się przytem, marzono, ale Jokay pisze z żalem, że choćby historia oddała najwierniej główne rysy epoki, to gdzie szukać barwnych, oryginalnych obrazów, które się tworzyły ze światła i cieni ówczesnego życia.

Przepadły, czyniąc miejsce innym. Przyszła chwila—zagotowało się i buchnęło kipinięciem wojennego waru: i naraz stał się przewrót! „Trudno było żyć wtedy ludziom, ale trudniej teraz przypominać to sobie i wierzyć, że tak było“... pisze Yokay.

A potem znowu cicho, jak makiem zasiał; wszystko stało się płaszczyzną. On to pamięta dokładnie, jedno za drugim: obrazy odbiły mu się w umyśle i są tam, występując na zawołanie. I on sam, choć był wśród tego wszystkiego czemś, jak jeden punkcik, maluczkim, widzi się tam jednak.—„Byłem tam wszędzie“... pisze.

„Przy boku bohaterów przejmowałem się ich tryumfem, uciekałem przez nieskończone stępy puszki ze ściganymi batyrami. Widziałem obleżony Peszt i obleżony Wiedeń, patrzyłem na dymiące zgliszcze Komorna i przebyłem pod Vilagos koniec świata—zapadanie się w przepaść... Kochowałem z cyganami, jadłem z jednej misy z książkami i byłem takim biednym dyablem, który za dwa guldeny na miesiąc, uczył żydowskie bachorki czytać powieści. Miałem raz na szyi stryczek, ale miałem i wstęgę orderową, rzucano mi wieniec, i wymyślano mi od Kosutowego wyzła. W dwudziestym trzecim roku byłem buntownikiem, ożeniłem się i poszedłem na wojnę—czego nigdy nie żałowałem i nie żałuję dotąd“!...

„Z tego, com w paśmie czasów owych czuł i myślał—stały się skrzydła dla postaci bohaterów moich.“

Dla tego mógł napisać tak wiele, bo posiadał materiał dany mu w ten sposób przez życie; była to dla niego, jak glina dla rzeźbiarza: miał z czego lepić i modelować, aż do pełności, i w końcu też dodaje, że mnogości swych utworów nie uważa sobie wcale za zasługę i nie żąda za to nic od teraźniejszości, jak i od przyszłości—tego nawet, aby książki jego były poczytne. „Pisałem głównie dla siebie samego—zakończyć—pisanie było dla mnie światem moim, wonią życia, życia tajemnicą i drogą jego mądrości, pociechą w trosce, wsparciem w niedoli. Przy biurku mojem odnawiałem nadzieję, męstwo, siły do nowych walk życia. Tu odzyskałem napowrót mój stracony majątek, tu biłem się z moim wrogiem i zwyciężyłem go, tu do nowych zapasów się krzepiłem. Przez czterdzieści lat nie wyczerpałem się tu w pracy i mam jeszcze ludziom coś do powiedzenia“...

Przyznając, że dużo drogiego mu, słodkiego i dobrego posiadał na ziemi, co wie, że trzeba mu będzie porzucić, przecież tego mu głównie żal, że „pióra swego w zaświaty ze sobą nie będzie mógł unieść“.

Poeta do głębi duszy, do głębi duszy idealista!

Dotąd, była to przedmowa; właściwą książkę zaczyna Jokay od rozdziału „miłość“, a kończy ją na rozdziale: „kobieta“. My pozwolimy sobie zacząć od końca, aby wrócić z kolei do początku. Każdy rozdział ma jakiś nadpis, jakieś motto;

pod rozdziałem „Kobieta“ stoi: „Każdy spełniony i każdy zaniedbany czyn bohaterstwa, ma za powód: kobietę...“

— Wlećcie w serce kobiety morze goryczy: jeszcze jego naturalna słodycz nie zaginie w zupełności.

— Taka niezmierzona wysokość i taka niezmierzona głębokość jest w miłości prawdziwie kochającej kobiety, że kto długo w nią patrzy, temu się kręci w głowie i mieszają mu się zmysły.

— Co to jest kobiece serce?—Jest to niezgruntowane morze. Czy przecież wiesz, przez co się jego fale wzruszają, co jego zielona głębia chowa; co spadające gwiazdy nieprzemierzonej jego toni szepeczą? Czy wiesz, co się to nazywa z jednego końca świata w drugi płynąć i co wtedy wśród ciemnej nocy przyświeca? Jeżeli to wszystko wiesz,—to nie domyślasz się jeszcze, co mieszka w sercu kobiety.

— Serce wyniosłej kobiety nietylko samego szczęścia chce używać, nieraz pragnie ono cierpieć i czuć boleść.

— Kobieta powinna posiadać dużą dozę nie wiadomości już dla tej przyczyny, aby się jej istota nie wzburzyła świadomością, jak radości i boleści życia są na ziemi nierówno rozdzielone między kobietę i mężczyznę.

— Na straży cnoty kobiecej stoi nie nic znająca niewinność, ale wrodzona duma serca. Dafne, wiejska dziewczyna, umiała się od blasków słońca dziewczęcą dumą zastawić, a Danae, królewska córka, nie potrafiła się przed deszczem złota w palacu swoim obronić.

— Każda kobieta ma swój ideał mężczyzny i w jej ręku spoczywają losy rodziny. Może ona chorego zdrowym, prostego mądrym zrobić, słabemu dać moc charakteru, nawet zbłąkanego naprowadzić na dobrą drogę.

— Tensam mężczyzna może być obok jednej kobiety poważnym mędrcem, obok drugiej szaleńcem.

— Żaden paw' tak się nie pyszni z ozdoby

piór swoich, jak rozkochana kobieta z miłosnej serca swego chwały.

— Ciężko jest mężczyźnie wyrzec się mienia i stanowiska swego wśród ludzi: przecież czyni to w potrzebie, i wtedy szlachetna kobieta mówi mu:—Dobrześ postąpił—przecież z oczu jej pada łza cicha—nad nim!

— Kobieta odczuwa wszelkie cierpienie w taki sam sposób, jak mężczyzna, tylko natura dała jej pewną właściwą siłę ducha, przez którą może nieraz boleść znieść, nie wydając tego, że cierpi.

— Są mężczyźni, którzy dla zdobycia złota w skałach, nie żałują trudu swego: to też niech kobieta, z silnem sercem skały, strzeże się, aby nie odkryli złota, które tam ma w głębi.

— Mężczyźni są źli, i często łamią przysięgi, ale też kobieta umie się mścić za to, i nieraz potem mężczyzna spotyka taką, która za dziesięć, za sto kobiet na nim się zemści.

— Mężczyzna nieraz dlatego bywa niewiernym, że jest mocnym; kobieta dlatego, że jest słabą; ale niema straszliwszego potwora nad kobietę, która nie jest zdolną uczuć miłości.

— Są piękne kobiety, którym fałsz towarzyszy wszędzie, jak własny ich cień. Oszukują nawet świętych, modląc się do nich.

— Wszystkie kobiety są zabobonne, i to nerwy ich skłaniają je do tego. Nerwy te dają im przeczuwać naprzód zmianę pogody, deszcz, słońce,—dla czegożby zatem nie miały dawać im znać o zbliżającej się doli lub niedoli?

— Nieszczęście jest kluczem, odmykającym serce kobiety tklivej.

— Pierwszy pocałunek miłości czyni kobietę królową.

— Ognisko domowe może się stać jakoby tronem, z którego kobieta rządzi światem.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkuś 7-my, tomu II-go powieści pod tyt.: **Widmo**

Tom wypada
kopiejek 30.

Tanie zbiorowe wydanie

Tom wypada
kopiejek 30.

POWIEŚCI

najznakomitszego naszego pisarza

J. I. KRASZEWSKIEGO

Serya nowa.

Wydanie to obejmuje: powieści dotychczas w tanich wydaniach nieegzystujące. Żadna z powieści znajdujących się w Wydaniu jubileuszowym

powtórzoną nie będzie.

Jestto jedyne zbiorowe wydanie powieści znakomitego pisarza.

W roku 1883 wyszło tomów 20; — w roku 1884 wyjdzie tomów 20.

Obecnie wyszły tomy 21 i 22 obejmujące powieści:

Bracia rywale, Obrazek społeczeństwa XVIII wieku. — Żeliga, powieść w 2 tomach.

Frenumerata wynosi:

W Warszawie:

Kwartalne (za 5 tomów) . . . Rs. 1 kop 50
Półroczne (za 10 tomów) . . . Rr. 3 —
Rocznie (za 20 tomów) . . . Rs. 6 —

Po e z t ą :

Kwartalne (za 5 tomów) . . . Rs. 1 kop. 75
Półroczne (za 10 tomów) . . . Rs. 3 kop. 50
Rocznie (za 20 tomów) . . . Rs. 7

W Warszawie opłacać można miesięcznie po kop. 50.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

Tom 1—20 wydane w roku zeszłym są jeszcze do nabycia.

TREŚĆ. Samotność, (poezya), przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Król Agis, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Geraldina Calverley, (dalszy ciąg), przez M. I. — Przez czterdzieści lat.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Февраля 1884 года.